

The book cover features a teal background adorned with various flowers, including purple lavender, white daisies, pink cosmos, and purple bellflowers. Three antique keys are scattered across the lower half: a large key with a circular head, a smaller key with a heart-shaped head, and a tiny key with a circular head. The author's name 'MAEVE HARAN' is at the top in a light yellow, sans-serif font. The title 'NAJLEPSZE CHWILE W ŻYCIU' is in large, red, cursive letters. A quote in red text is on the right, and the publisher's name 'MARGINESY' is at the bottom left. A white checkmark icon is in the bottom right.

MAEVE HARAN

NAJLEPSZE  
CHWILE W ŻYCIU

*Nie wiecie?  
Sześćdziesiąt  
to nowe  
czterdzieści!*

MARGINESY



MAEVE HARAN  
NAJLEPSZE  
CHWILE W ŻYCIU

Przełożyła Dobromiła Jankowska



MARGINESY



*Dla moich czterech cudownych przyjaciółek:  
Alex, Claire, Harriet i Presiley  
które poznałam pierwszego dnia studiów  
i z którymi spotykam się co miesiąc na pogaduchy i bąbelki.  
Dziękuję, że tak wzbogaciłyście moje życie.*

*I dla Jane,  
której pytanie: „Co zrobimy z resztą naszego życia?”  
zainspirowało mnie do napisania tej powieści.*

*The Time of Their Lives*

COPYRIGHT © Maeve Haran 2014

COPYRIGHT © FOR THE TRANSLATION BY Dobromiła Jankowska  
COPYRIGHT © FOR THE POLISH EDITION BY Wydawnictwo Marginesy,  
WARSZAWA 2016

## *Wstęp*

Co miesiąc spotykam się z czterema przyjaciółkami, żeby się napić wina i pogadać o różnych sekretach, i zawsze jesteśmy zgodne co do jednego: może nie jesteśmy młode, ale wciąż czujemy się młodo.

Kiedy moja mama była w moim wieku, ubierała się jak królowa matka. My lubimy się ubierać stylowo, razem wychodzić i dobrze się bawić. Jak zauważa jedna z bohaterek *Najlepszych chwil w życiu*: „Dzisiaj wiek kobiety możesz odgadnąć, tylko spoglądając na jej męża!”

Jesteśmy pierwszym pokoleniem, które przetrwa jeszcze trzydzieści lat, i choć nasze dzieci czasami to irytuje, jednego jesteśmy pewne: zamierzamy wykorzystać te lata najlepiej, jak się da!



*Nie mówię: przejść na emeryturę, bo przejść  
to można przez ulicę.*

Dame Marjorie Scardino, była uczestniczka  
zawodów rodeo i pierwsza kobieta dyrektor  
generalny brytyjskiej spółki giełdowej

– No dobra, dziewczyny. – Claudia spojrzała na trzy najlepsze przyjaciółki. Regularnie spotykały się w Greckim Gaju, znajdującej się w piwnicy winiarni, której ściany zdobiły marnej jakości murale przedstawiające lubieżnych pasterzy goniących za nimfami. Wcale nie wyglądały, jakby zamierzały uciekać. – Wiecie, jaki dzisiaj jest dzień?

Miała świadomość, że przegina, nazywając je dziewczynami. Bo zdecydowanie nimi nie były. Były kobietami. W wieku bardzo średnim. Kiedyś nazwano by je starymi. Teraz, kiedy sześćdziesiątka stała się dawną czterdziestką, wszystko się zmieniło.

Sal, Ella i Laura wzruszyły ramionami i wymieniły zdumione spojrzenia.

– Czyżby twoje urodziny? Nie, przecież urodziny masz w lutym, skończysz... – zaryzykowała Ella.

– Nie mów tego na głos! – przerwała jej Sal, najbardziej ze wszystkich wyczulona na punkcie wieku. – Jeszcze ktoś cię usłyszy!

– Niby kto? Potencjalny młody kochanek o gibkich bioderkach? – dociekała Laura. – Musiałabym mu powiedzieć prawdę.

– Jest trzydziesty wrzesnia – oznajmiła Claudia, jakby wyciągała królika z kapelusza.

– No i? – Wszystkie wydawały się rozbawione.

– Właśnie trzydziestego wrzesnia się poznałyśmy. – Wyjęła z torebki wyblakłą fotografię. – Pierwszego dnia studiów, ponad czterdzieści lat temu!

Sal wyglądała, jakby miała zemdleć. Pozostałe nachyliły się, żeby popatrzeć na zdjęcie. Oto one. Cztery pełne nadziei osiemnastolatki z długimi grzywkami, w krótkich spódnicach i wysokich butach. Ze świeżych, młodych twarzy były optymizm i nadzieja.

– Muszę przyznać – zaczęła z dumą Ella – że całkiem nieźle wyglądamy. Dlaczego młodzi nigdy nie wierzą, że są piękni? Wtedy sądziłam, że mam gównianą cerę i że powinnam schudnąć.

Claudia spojrzała na fotografię. Pomyślała, że na pierwszy rzut oka Sal wygląda teraz najlepiej – modnie ubrana, dobrze ostrzyżona – ale przecież nigdy nie miała męża i dzieci, nie zmęczyła się życiem. Było też w jej wyglądzie coś mówiącego, że za bardzo się stara. Laura zawsze zdawała się konwencjonalnie ładna, lubiła pastelowe swetry i pojedyncze sznury pereł. Kiedy się na nią patrzyło, od razu się wiedziało, że jako dziecko miała pudełko na biżuterię z obracającą się przy dźwiękach pozytywki baleriną na wieczku. I ta balerina pozostała dla niej ikoną mody. Ella: zawsze delikatna jak elf. Trzy lata temu spotkała ją niespodziewana tragedia, która zebrała swoje żniwo, ale teraz wyglądała już jak dawniej. I co dziwne – młodziej, nie starzej, bo nie próbowała maskować wieku.

No i ona: starannie ufarbowane włosy w tym samym odcieniu orzechowego brązu, który zawsze wybierała, wcale nie dlatego, że był to jej naturalny kolor (bo nie pamiętała już, jaki był), ale dlatego, że uważała, że tak wygląda bardziej na-

turalnie. Jak zawsze miała na sobie luźny beżowy sweter, pod nim nieodłączną koszulkę na ramiączkach, dzinsy i kozaki.

– Niemożliwe, że minęło aż tyle lat – jęknęła Sal, jakby dostrzegła zbliżający się autobus i nie mogła mu zejść z drogi.

– To były dobre czasy, prawda? – westchnęła Ella. Wiedziała, że jej córki inaczej by to oceniły. Pokolenie swoich rodziców uważały za samolubne, a do tego rozwiązałe i będące na wiecznym haju. Urodzeni po drugiej wojnie, narzekały, byli szczęściarzami, mieli etaty, wysokie emerytury i tanie nieruchomości, podczas gdy ich dzieci musiały walczyć na śmieciówkach z wykańczającymi kosztami utrzymania i pracą do siedemdziesiątki.

Ella zaczęła się zastanawiać. Jeśli chodzi o rozwiązłość, jej córki miały rację. Nigdy by się nie przyznała, że jako dwudziestolatka zabroniła pewnemu mężczyźnie zdradzić, jak ma na imię, bo jeśli chodzi o seks, wołała ekscytującą erotyczną anonimowość. Okropne. Naprawdę to zrobiła? Nie mówiąc już o tym, że spała z iluś tam facetami, których imion nawet nie pamiętała. Ach, te szalone dni przed pigułką i AIDS.

Poczuła, że się uśmiecha.

To były naprawdę wspaniałe czasy. Muzyka, festiwale, poczucie, że młodzi nagle dostali władzę i że świat naprawdę się zmienia. Ale minęło już tyle lat...

Claudia ostrożnie włożyła fotografię z powrotem do torebki.

– Muszę was o coś zapytać. – Dolała wszystkim wina. – Załóżmy, że zostało nam jeszcze trzydzieści lat. Co, do diabła, zrobimy z resztą życia?

– Zamierzasz przestać uczyć? – spytała ze zdziwieniem Ella. Claudia była tak oddana swemu zawodowi, że uczyła francuskiego właściwie od ukończenia studiów. – Myślałam, że teraz można to robić wiecznie.

– Nie jestem pewna, czy tego chcę – odparła Claudia.  
Spojrzały na nią zaszokowane.  
– Ale ty uwielbiasz uczyć. Mówisz, że dzięki temu masz kontakt z młodymi! – zaprotestowała Laura.  
– Widać niewystarczająco bliski. – Claudia próbowała ukryć gorycz. – Okazało się, że nie nadążam za postępem. Moją ulubioną grupę oddano młodszemu nauczycielowi. Każe im się uczyć slangu z YouTube’a. Według zastępczyni dyrektora ma to znakomity wpływ nawet na najbardziej opornych uczniów.  
Próbowała nie przypominać sobie protekcyjnego tonu dyrektorki, gdy jej oznajmiała (jakby mówiła do zgrzybiałej staruszki), że Peter Dooley, szczeniak koło trzydziestki, przez resztę kadry przezywany Plującym Dooleyem (miał zwyczaj strzykania śliną, kiedy mówił), przejmie jej ulubionych uczniów.  
– Dooley! – powiedziała z wściekłością. – On nie ma pojęcia o prawdziwej Francji! Wszystko wyszukuje w internecie!  
Zbyt późno zrozumiała, że popełniła błąd.  
– No właśnie! – powtórzyła dyrektorka. Sama ledwie skończyła trzydziestkę i miała tylko dyplom MBA (nawet nie uprawnienia pedagogiczne) jakiegoś uniwersytetu z Północnego Wschodu (marniutko, pomyślała Claudia z satysfakcją).  
– Ale przecież tak dobrze sobie radzisz z uczniami! – Sal była oburzona. – Już wiele lat przed internetem nagrywałaś na taśmę swoje rozmowy po francusku z Gaby, prawda? Twój uczniowie je uwielbiali!  
Claudia zbladła. Podczas tamtej rozmowy dyrektorka wyciągnęła nawet jedną z tych dwudziestoletnich taśm. Miała na tyle tupetu, żeby jej ją pokazać i zapytać słodko: „Pewnie uważasz, że stare sposoby są najlepsze, prawda, Claudio?”  
Miała ochotę warknąć, że doskonale zna nowoczesne metody nauczania i nie potrzebuje pomocy. Ale prawda była

taka, że zaczynała przegrywać. Po raz pierwszy od tamtych szalonych chwil uwiecznionych na zdjęciu czuła się staro. I to nie z powodu problemów z pamięcią czy walki z siwymi włosami.

Z powodu technologii.

Jean-Paul Sartre może i mówił, że piekło to inni, ale nigdy się nie wybrał w sobotę do zatłoczonego sklepu Apple’a tylko po to, żeby usłyszeć, że zanim mu pozwolą zadać proste pytanie, musi się umówić z „geniuszem”, jednym z tysiąca takich samych kujonowatych młodziaków.

Nie musiał też znosić horroru kontroli e-learningowej, dzięki której uczniowie, a nawet ich rodzice, mogli wejść do sieci i w domu przeglądać szkolne prace. Nawet najlepiej obeznani z technologią wykładowcy uważali, że to koszmara. A jakby tego było mało, nauczyciele mieli również rozpoznawać słabości uczniów, wykorzystując jakiś absurdalny program stworzony przez dziesięciolatka!

– Smarkata krowa. – Wściekły głos broniącej Claudii Elli odbił się od murów Greckiego Gaju. – Radzisz sobie z technologią dużo lepiej niż ja. Ja nadal myślę, że iPad to poduszka na oczy. I co teraz zrobisz?

– Chyba... – Claudia po raz pierwszy uświadomiła sobie, co planuje. – Może nawet odejdę.

– Claudio, nie! – Laura była zaszokowana. – Przecież chcesz uczyć i jesteś w tym taka dobra!

– Czyżby? Dziewczyny, przecież te dranie uważają, że my już leżymy w grobach. Plujący Dooley powiedział mi nawet: „Jeśli to cię pocieszy, Claudio, to wielu starszych nauczycieli walczy z tym programem”.

– Bzdura! – zaprotestowała Sal, opróżniając kieliszek.

– Ale przecież inna szkoła cię podkradnie! – Laura, jak zawsze największa optymistka z nich wszystkich, szczęśliwie

zameżna od dwudziestu pięciu lat i wierząca w instytucję małżeństwa, spróbowała odpowiedzieć na pytanie Claudii. – Jesteś wspaniałym nauczycielem. I znajdziesz inne zajęcie. Zabawne, zdaje mi się, że minęła ledwie chwila od naszego pierwszego spotkania. Powinnyśmy dać sobie spokój z rozmyślaniami i żyć dalej. Za chwilę będziemy miały dziewięćdziesiątkę.

– Tyle że ta chwila oznacza artretyzm, utratę pamięci i kontroli nad pęcherzem – zauważyła lakonicznie Sal. – A zresztą musisz walczyć! Nie daj się ejdżyzmowi. Jeszcze nie jesteśmy stare. Nawet nie w średnim wieku.

Może dlatego, że z czterech przyjaciółek tylko ona była zmuszona zarabiać na życie, walczyła z wiekiem najbardziej energicznie. Wypowiedziała wojnę otyłości, zmarszczkom i ubraniom z workowatego lnu. Tego wieczoru miała na sobie sukienkę z czarnej gabardyny, opiętą i pasującą do szpilek. Ella już od dawna nosiła tylko płaskie buty, a Claudia włożyła adidasy, żeby móc dojść do metra.

Do szkoły też lubię chodzić piechotą, do pracy. Ale czy będzie jeszcze jakaś szkoła, do której będę mogła chodzić? – pomyślała ponuro Claudia, rozlewając do kieliszków resztki słodkiego greckiego wina.

– Na pewno znajdziesz inną posadę – stwierdziła Laura ze szczerym optymizmem kogoś, kto nigdy nie musiał pracować.

– Tak sądzisz? – Mimo džinsów Claudia nagle poczuła się staro. Kto zatrudni nauczyciela, któremu trzeba płacić więcej, i to nauczyciela po sześćdziesiątce?

– No przestań, Clo – powiedziała Ella. – To ty jesteś naszym niebezpiecznym radykałem. Byłaś w Paryżu w sześćdziesiątym ósmym i rzucałaś kostką brukową! Nie możesz się poddać tylko dlatego, że jakiś smarkaty palant próbuje cię wykolegować!

Claudia się skrzywiła. Wypiła łyk wina. Nie miała już pewności, czy chce walczyć. I zaczynała się czuć zmęczona. Spojrzała na przyjaciółki.

– Wznieśmy toast. – Uniosła kieliszek. – Za nas. Było cholernie klawo.

– Wypiję za to – przytaknęła Sal. – Ale to jeszcze nie koniec!

– Przestań, Sal, musisz to przyznać. – Ella pokręciła głową. – Nie jesteśmy w średnim wieku, jesteśmy antykami.

– Wcale nie. Nie ma już czegoś takiego jak antyk. Jesteśmy YAH-ami, *Young At Hearts*, młodymi sercem. Albo SWAT-ami.

– A to nie dolina w Pakistanie? – zachichotała Claudia.

– Albo jakaś jednostka policyjna? – dodała Ella.

Sal nie zwróciła na nie uwagi.

– *Still Working At Sixty*. Jesteśmy po sześćdziesiątce i wciąż pracujemy.

– O ile pracujemy – westchnęła Claudia. – A w twoim przypadku, Sal, to chyba SOT. *Still Out There at Sixty*. Po sześćdziesiątce i wciąż na rynku.

– Mówisz o mnie jak o starzejącej się kuguarzycy z problemem alkoholowym!

– No i...? – zapytała Ella z przekąsem.

– No już, już. – Laura spróbowała je uspokoić. – Nie rzucajcie się na Sal.

– Chodzi o to, że nie jesteśmy tak stare, jak byli starzy ludzie w przeszłości – powiedziała Sal. – W naszym wieku moja mama wyglądała jak królowa matka. Trwała i kostiumiki. Ja chodzę w džinsach i robię zakupy w H&M!

– To prawda, nie wyglądamy jak nasze matki – przyznała Laura. – Dzisiaj wiek kobiety możesz odgadnąć, tylko spoglądając na jej męża!



– Może nie jesteśmy młode, ale wciąż czujemy się młodo – upierała się Sal. – I to nas od nich różni. Należymy do powojennego pokolenia egoistów. Zawsze łamałyśmy zasady i robiłyśmy wszystko po swojemu. A starzenie się nie jest już nieuchronne, to tylko wybór. I ja na pewno go nie wybiorę.

– Sama nie wiem. – Ella wyciągnęła rękę, w której od czasu do czasu odczuwała bóle reumatyczne. – Czasami czuję się stara.

– Bzdura! Nigdy nie będziemy stare. Jesteśmy pokoleniem Woodstocku. Jak leciała ta piosenka Joni Mitchell? – Sal szukała w pamięci tytułu. – No wiecie, ta o gwieźdny pyle i o tym, że trzeba wrócić do raj.

– No tak. – Ella podniosła kieliszek. – Miejmy nadzieję, że można tam wjechać na wózku.

Claudia wracała do domu metrem. Wyjęła komórkę i włączyła kalkulator. Tak, tyle potrafiła zrobić, bez łaski, choć jej córka Gaby twierdziła, że używa telefonu tylko do wysyłania ponaglących ją esemesów. Oszacowała najważniejsze wydatki. Gdyby teraz odeszła, nie miałyby szans na dobrą emeryturę. Nie mogła się nie uśmiechnąć, kiedy Ella wspomniała o rzucaniu kostką brukową w 1968 roku, a teraz zamartwiała się o przyszłość. Co by o tym pomyślała młoda Claudia?

Ale przecież anarchistką została wtedy przypadkiem. Tak naprawdę była ledwie siedemnastoletnią *au pair* próbującą podszkolić francuski przed końcowymi egzaminami i mieszkała u zamożnej rodziny w eleganckiej szesnastej *arrondissement*. Wtedy też poznała Thierry'ego, najlepszego przyjaciela syna gospodarzy. I to właśnie Thierry, przystojny, ciemnowłosy, w czarnych rogowych okularach, z zacięciem intelektualisty, przekonał ją, żeby w jeden z niewielu wolnych dni poszła zobaczyć, co robią studenci.

Pochodziła z bezpiecznego podmiejskiego Surrey i zahipnotyzowała ją szalona rewolucyjna atmosfera, inteligentne graffiti nabazgrane na eleganckich budynkach: „Bądź realistą, żądaj niemożliwego”, „Jestem marksistą z frakcji Groucho Marxa”. A jeszcze bardziej oczarował ją sam radykał Thierry.

Wszystko było takie odważne i ekscytujące. Złapali się za ręce. Ona, Thierry i jego sympatyczni krótko ostrzyżeni przyjaciele w sztruksowych marynarkach, zupełnie nieprzy-pominający buntujących się studentów. Zrobili to, żeby zablokować paryskie ulice i nie przepuścić znieawidzonych *flics*. Siedziała na ramionach Thierry'ego – jak teraz robią dziewczyny na festiwalach muzycznych – w Dzielnicy Łacińskiej, wraz z setkami tysięcy innych domagających się wyzwolenia seksualnego i końca paternalizmu.

Wydawało się, że minęła cała epoka.

Wróciła do obliczeń. Dadzą radę bez jej pensji? Z trudem. Jeśli teraz rzuci szkołę, będzie musiała pójść pracować w markecie, jak inne emerytki. Najbardziej wkurzało ją to, że wiedziała, że jest świetna w tym, co robi. Potrafiła zainteresować uczniów i była lubiana. To prawda, nie korzystała z nowych technologii tak często jak Peter Dooley. Zaczęła się zastanawiać, czy nie stała się luddystką. Skąd, upomniała sama siebie, jestem cholernie dobrym nauczycielem. A jeśli się podda? Zawsze może dawać prywatne lekcje.

Ale Ella mówiła prawdę – wciąż tkwiła w niej rewolucjonistka. Nie znosiła uprzywilejowania, które mogli kupić bogaci rodzice. Jeśli odejdę, na pewno znajdę inną pracę, powtarzała sobie. Ale w głębi duszy wiedziała, że bez względu na to, jak jest dobra, wiek działa na jej niekorzyść.

Kiedy dotarła do domu, chwilowy odpoczynek od problemów, który jej zapewniały wino i przyjaciółki, zdążył wyparować. Idąc ogrodową ścieżką, zauważyła, że w bawialni wciąż

pali się światło i że (co również było niezwykle) jej mąż Don (wykładowca nauk politycznych) siedzi jeszcze przy komputerze pod monstera, kolejnym ocalałym świadkiem lat sześćdziesiątych. W 1969 roku monstery były bardzo modne i oryginalne, podobnie jak teraz aspidistry, a ona wciąż czuła, że musi być wobec swojej niewytlumaczalnie lojalna, i nie zgadzała się jej wyrzucić.

Przez większość poprzedniego wieczoru skarżyła się mężowi na zastępczynię dyrektora. W przeciwieństwie do zadowolonej żony zdawał się zaskakująco radosny. Zdziwiło ją to, bo ostatnio praca głównie go dołowała. Tego wieczoru był jakby innym człowiekiem.

– Cześć, skarbie. – Uśmiechnął się do niej po chłopięcemu. – Chyba znalazłem rozwiązanie naszych problemów!

Gdzieś w jej głowie rozległ się sygnał alarmowy. To do niego niepodobne. To ona zawsze wszystko organizowała, podejmowała decyzje, ogłaszała zmiany. Don zawsze był niepraktyczny, niezorganizowany, zupełnie niezainteresowany przyziemnymi sprawami. Bardziej przejmował się tym, jak zainteresować znudzonych i wpatrzonych w ekrany komórek nastolatków systemem wyborczym, niż tym, że dach przecieka albo że trzeba się zastanowić, w którym banku mogą dostać lepsze odsetki od swoich skromnych oszczędności. Takie sprawy zostawiał „mądrej Claudii”.

Ich córka Gaby, idąc za przykładem ojca, o pożyczkę, radę i nocną podwózkę zawsze prosiła ją, nie jego.

– No dobra. – Claudia zdjęła płaszcz i powiesiła go w szafie w przedpokoju. – Więc co jest rozwiązaniem naszych problemów?

– Zastanowimy się nad przejściem na emeryturę. Tylko kilka lat wcześniej. Wśród starszych nauczycieli często szukają wolontariuszy. A na stałe kosztujemy więcej. I mogą

nas łatwo zastąpić dzieciakami zaraz po szkoleniu nauczycielskim. Sprzedamy dom, kupimy mniejszy w Surrey, blisko twoich rodziców, i będziemy żyć z inwestycji. – Oczywiście lśniły mu jak dawnym ewangelistom głoszącym nowe przypowieści. – Mogłabyś hodować kurczaki!

Wzdrygnęła się. Zawsze mówiła, że przejść to można na drugą stronę ulicy, nie na emeryturę. Z drugiej strony – czy zniesie to, że Plujący Dooley będzie jej podbierał kolejne klasy?

Przychodziło jej do głowy co najmniej kilka wyjątkowo paskudnych francuskich określeń slangowych, którymi mogłaby opisać tę małą gnidę, dużo gorszych niż te z internetu. Najłagodniejsze brzmiało: *pauvre mec*. A jeśli poskarży się Stephenowi, dyrektorowi? Był niemal jej rówieśnikiem. Ale czy to znaczy, że weźmie jej stronę? A może poprzez swoją zastępczynię? Claudia miała świadomość, że jest znana ze skłonności do dyskusowania. I że Stephen na pewno o tym pamięta. Zresztą masowe odchodzenie nauczycieli na wcześniejszą emeryturę już dawno się skończyło. Za dużo kosztowało i zbyt wielu pedagogów zmęczonych szkolnymi konfrontacjami wybrało ten wariant. Ale może dałoby się coś wynegocjować...

Powinna zacząć im sprawiać więcej kłopotów.

Jednego była pewna: nie była gotowa przeprowadzić się na prowincję.

– Ale ja nie chcę hodować pieprzonych kurczaków! I nie chcę się przeprowadzać do pieprzonego Surrey!

– To tylko trzydzieści kilometrów autostradą. – Don zaczął ją uspokajać. Jego oczy wciąż niebezpiecznie lśniły, misjonarski zew bynajmniej nie ucichł. – Maksymalnie pół godziny pociągiem.

– A co ze mną? – rozległ się drżący ze złości głos. – W Surrey mieszkają tylko żywe trupy. – Ich córka Gaby stała

w drzwiach. Na myśl o wyjeździe na wieś zbladła z przerażenia.

Claudia tam dorastała i zgadzała się z nią.

Dwudziestoosmioletnia Gaby wciąż z nimi mieszkała. Claudię bardzo to cieszyło. Gaby była radosna i kuchnia często rozbrzmiewała głosami jej przyjaciół. Martwiło ją tylko to, że wciąż nie ma wystarczająco dobrze płatnej pracy, żeby móc się wyprowadzić. Gaby odpowiadała, że grabieżcze poprzednie pokolenie sprawiło, że to niemożliwe, ale ona czasami się obawiała, że jej córka po prostu nie jest wystarczająco wytrwała. Miała porządny dyplom z geografii, ale wolała przyjmować kolejne dziwne posady: aktorki, kelnerki, recepcjonistki w gabinecie weterynaryjnym, telefonistki w call center, artystki cyrkowej (wytrzymała ledwie dwa tygodnie) i asystentki w galerii sztuki. Ostatnio postanowiła, że chce zostać architektem. Ona i Don wymienili spojrzenia i nie wspomnieli, jak wielu lat kształcenia to wymaga. Teraz przynajmniej pracowała u pewnego architekta, choć na podrzędnym stanowisku.

– Moglibyśmy ci pomóc opłacać czynsz – oznajmił Don, jakby to było oczywiste rozwiązanie.

Twarz Gaby wyraźnie się rozjaśniła. Claudia zastanawiała się, czy jej mąż nie oszalał.

– Może gdzieś w Shoreditch? Albo w Hoxton? – Gaby wymieniła dwie najmodniejsze dzielnice popularnego East Endu.

– Nie jestem pewien... – zaczął Don.

– Ja też nie – przytaknęła szybko Claudia. – Jeśli wziąć pod uwagę nasze dochody po tym, jak odejdę z pracy, byłoby to raczej Penge. Ale cały ten pomysł z przeprowadzką jest absurdalny.

– Niby dlaczego? – Don nie ustępował. Rzadko mu się to zdarzało.

– Tutaj mam pracę. I lubię Londyn.

– Ale sama mówisz, że może z niej zrezygnujesz. Co będzie, jeśli Dooley zostanie szefem departamentu?

Claudia zignorowała tę koszmarną uwagę.

– A co ze wszystkimi kulturalnymi przyjemnościami tuż za rogiem? – zaprotestowała. – Teatry, galerie, restauracje?

– Jakoś nigdy z nich nie korzystałaś. Mówiłaś, że bilety do teatru są tak drogie, że stać na nie tylko rosyjskich oligarchów.

– Są galerie sztuki.

– Kiedy ostatnio którąś odwiedziłaś?

Claudia brnęła dalej. Miała wyrzuty sumienia. Wiedziała, że choć mieszka w jednym z najwspanialszych miast świata, rzadko korzysta z jego atrakcji.

– Ale moje przyjaciółki! Nie mogę mieszkać trzydzieści kilometrów od Greckiego Gaju!

– Nie wydaje ci się to trochę samolubne? – zapytał Don.

– A ty może nie jesteś samolubny? – odparowała Claudia. – Nigdy nie wspominałeś o przeprowadzce, a teraz nagle to wszystko moja wina, bo nie chcę mieszkać na udawanej wsi.

– Surrey nie jest udawaną wsią. Moglibyśmy się zresztą wyprowadzić na prawdziwą. Pewnie byłoby taniej.

– I jeszcze dalej od moich przyjaciółek!

– No tak. – Don zrobił się zaskakująco zły. – Zawsze chodzi o te wasze złoty czarownic, prawda? Najważniejsza rzecz w twoim życiu.

– Jak śmiesz je nazywać czarownicami?

– Tylko gadacie i plotkujecie. Sal narzeka na swoich kolegów. Ella na zięcia z piekła rodem, a Laura osądza facetów według tego, czy już odeszli od żon.

Claudia mimo woli zachichotała. To był celny opis.

– Dzięki Bogu – wtrąciła się Gaby. – Myślałam, że wy dwoje szybciej traficie na salę sądową, żeby się rozwieść, niż do Surrey. Przecież wy się nigdy nie kłóćcie.

– A co z twoimi przyjaciółmi? – zapytała Claudia. – Będziesz tęsknił za środami w Bull, tak bardzo jak ja za moim barem.

Don w każdą środę spotykał się z trzema kumplami, żeby ponarzekać na dyrektorów, wydział edukacji i stan brytyjskiego szkolnictwa. Pomyślała, że widocznie dla mężczyzn przyjaźń nie jest tak ważna jak dla kobiet.

– Herbaty? – zaproponował, jakby miała mieć uzdrawiającą moc świętego Graala. – Redbush?

Skinęła głową.

– Waniliowy.

– Wiem, waniliowy.

Pocałowała Gaby i poszła na górę. W ciągu tych trzydziestu lat Don dobrze ją poznał. Wiedział, co lubi, a czego nie. Wiązały ich drobne wybory, których dokonywali, a każdy stawał się cegłą w twierdzy ich małżeństwa. Ale twierdze nie tylko bronią przed najeźdźcami, ale też więżą.

Rozebrała się szybko i położyła, wciąż zdenerwowana.

Don przyszedł z herbatą, a potem zniknął w łazience.

Dwie minuty później wślizgnął się do łóżka. Nago – a to zwykle zapowiadało, że będą uprawiać seks.

– Przepraszam. Nie powinienem tak nagle z tym wyskakiwać. To było naprawdę nie fair.

– Co ty powiesz?

Zaczął całować jej piersi. Zesztywniała, ale nie z podniecenia. Dlaczego mężczyznom się wydaje, że mogą wykorzystać seks, żeby przeprosić, podczas gdy kobiety chcą, żeby je najpierw naprawdę szczerze przeprosili, a dopiero potem myśleli o seksie?

Ella wysiadła z autobusu i ruszyła ścieżką, przy której Grand Union Canal zbiegał się z Tamizą. Była księżycowa

noc. Wodę oświetlał pokryty cienką mgiełką szeroki pas srebra. Ten obraz przypomniawszy jej jeden ze świętych obrazków, które jako dziecko zbierała w klasztornej szkole. Światło na wodzie często było na nich symbolem nadprzyrodzonego spokoju. Ale ona nie była tego wieczoru spokojna. W takich chwilach brakowało jej Laurence'a.

Jeśli kiedykolwiek miała w sobie wiarę, ta wiara dawno uleciała. A może by pomogła wtedy, kiedy Laurence tak nagle odszedł. Nie zdążył się nawet pożegnać. Ofiara ze statystyk. Miał pecha, zginął w jednej z tak rzadkich katastrof kolejowych. Najbezpieczniejszy środek lokomocji. Bardzo śmieszne. A może gdyby miała wiarę, i tak by ją po niesprawiedliwej śmierci Laurence'a straciła. Był w podróży służbowej, zastępował kolegę. Nie jechał nawet do własnego klienta.

Pomyślała o Claudii i o tym, co powiedziała. Co się stanie z resztą ich życia? Dobre pytanie. Wtedy, wiedziała o tym, ocalała ją praca.

Tylko praca pomogła jej przejść przez żałobę po śmierci Laurence'a. Gdyby nie miała pracy, musiałaby się schować pod kołdrę i nigdy nie wyszłaby z łóżka.

Oczywiście musiała zachować siłę dla córek, ale teraz były dorosłe, miały trzydzieści dwa i trzydzieści lat, nie mieszkały już w rodzinnym domu. Nie mogła się wtedy załamać również dlatego, że musiała uniemożliwić Julii (tej starszej i bardziej władczą) traktowanie jej jak niemogącego samodzielnie podejmować żadnych decyzji małego dziecka.

Cory, młodszą, trudniej było pocieszyć, bo kiedy ostatni raz spotkała się z ojcem, pokłócili się o jakieś głupstwo. Nie mogła się pogodzić z tym, że więcej się nie zobaczą.

Minęły już trzy lata, trudno w to uwierzyć. Wciąż było widać ślad głowy na poduszce. Łóżko zdawało jej się absurdalnie wielkie i co rano, kiedy się budziła w ciszy pustego domu,

musiała natychmiast włączyć radio. Jim Naughtie nie mógł zastąpić Laurence'a, ale lepsze to niż nic.

Jej niezbyt subtelna koleżanka, którą zostawił mąż, stwierdziła, że śmierć jest lepsza niż rozwód, bo zostają przynajmniej wspomnienia.

Ale czasami to wspomnienia okazywały się problemem. Wciąż wchodziła do domu, kładła klucze na stoliku w przedpokoju, obok bukietu kwiatów z ogrodu, i nasłuchiwała dobiegających z telewizora odgłosów meczu.

Zawód prawnika okazał się podwójnie użyteczny. Walczyła z firmą przewozową, chciała, żeby przyznała, że ponosi winę za katastrofę. Nie tylko dla siebie, ale też dla innych ofiar. A potem, kiedy osiągnęła sukces, cała chęć walki wyparowała. Gdy tylko skończyła sześćdziesiąt lat, wybrała emeryturę, ot tak, po prostu. Wszyscy byli zaskoczeni. Najbardziej chyba ona.

Przechodziła przez plac przed domem. Teraz był to już Londyn, dawniej parkowe tereny, na których urządzano targi i konkursy łucznicze. Wszystko zasypano żwirem, ale i tak czuło się raczej wiek osiemnasty niż współczesność.

Zatrzymała się, żeby spojrzeć na swój dom – dom, o który dbała i który kochała, w którym minęło całe jej małżeńskie życie.

Był to elegancki trzypiętrowy budynek z czerwonej cegły, z kwadratowymi dzielonymi oknami i szerokimi kamiennymi schodami prowadzącymi do frontowych drzwi. To wejście lubiła najbardziej: piękny portyk i delikatne smukłe kolumny. Kiedyś mieszkali tam tkacze, teraz tylko niezłe sytuowana klasa średnia mogła sobie na to pozwolić.

Zatrzymała się na chwilę. Włożyła klucz do zamka i spojrzała w górę. Po niebie leciał jumbo jet, zniżał się do lądowania na Heathrow. Wydawało się, że jest tak nisko, że mogłaby

go dosięgnąć i złapać. Piękne domy z epoki królowej Anny znajdowały się tuż pod korytarzem powietrznym. Niezbyt stosownie. Najbliższa okolica stała się niewielką enklawą historii, ze wszystkich stron otoczoną korzystającymi z bliskości autostrady M4 wysokimi biurowcami. A ten placzyk należał do drobnych nieoczekiwanych odkryć, za które ludzie kochają Londyn.

Za drzwiami usłyszała radio i się zatrzymała. Zastygła we wspomnieniach. To nie Laurence, on przecież nie żyje. To pewnie Cory. Jej córka miała niepokojący zwyczaj zjawiać się i zostawać na noc, jeśli akurat była w okolicy. Zresztą chwilę później, gdy tylko się otrząsnęła, poczuła, że się cieszy z jej wizyty.

– Cory! – zawołała. – Cory, to ty?

Na drewnianych schodach z piwnicy zadudniły kroki i po chwili rzuciła się na nią drobna postać.

Cory była piękna, szczupła, cerę miała bładą jak wosk. Ta bledość odcinała się od kaskady ciemnobrązowych włosów. Ale najbardziej uderzające były jej oczy: w wyjątkowym kolorze wyraźnego ciemnego błękitu. Czasami lśnił w nich blask, a kiedy indziej – częściej – dostrzegała w nich smutek, który ją martwił. Cory miała tyle powodów do radości – niezwykłą urodę, inteligencję i pracę w muzeum, którą bardzo lubiła – ale tylko Laurence potrafił sprawić, żeby w siebie wierzyła. Kiedy ona próbowała ją chwalić, coś robiła źle. Cory zbywała komplement wzruszeniem ramion. Kiedy chwaliła ją za to, że umie się ubrać, albo za to, że wygłosiła celną uwagę, trochę się irtowała, jak kaczątko, które chciałoby wylecieć z gniazda, ale bez pomocy jeszcze nie potrafi.

W tamtej chwili na szczęście zdawała się buzować energią.

– Cześć, mam, jak się masz? Byłam na nudnym spotkaniu w Uxbridge i pomyślałam, że się ucieszysz, jeśli wpadnę.



– Naprawdę? – zaśmiała się Ella, patrząc na kieliszek wina w jej dłoni. Już miała zapytać: jak ci smakuje sauvignon, które trzymałam na czarnej godzinę, ale wiedziała, że Cory od razu weźmie to do siebie, więc sobie darowała. – Nie przejmuj się. – Wzruszyła ramionami. – Napiłabym się z tobą, ale już imprezowałam z dziewczynami.

– A skoro mowa o dziewczynach... zaraz ma zajrzeć twoja sąsiadka. Chciała cię o coś poprosić.

– Ach tak... ona i Angelo pewnie chcą, żebym podlewała kota czy coś takiego.

– Wyjeżdżają?

– Oni ciągle wyjeżdżają. – Viv i Angelo kipieli niekończącą się energią zamożnych wczesnych emerytów. Oboje byli po sześćdziesiątce, ale zatrzymali się gdzieś przy dwudziestu sześciu latach. Viv wyglądała jak młoda Mary Quant – mini-spódniczki i wielkie naszyjniki, na głowie bob. Angelo miał porządnie ostrzyżone siwe włosy do ramion i lubił bluzy z kapturem w kolorze bladej moreli. Jeździli mini cooperem kabrioletem. Z jego głośników waliła muza z lat sześćdziesiątych. Jeśli istniała granica między wiecznie młodymi a dziwnymi i nieco strasznymi, oni znajdowali się po jej właściwej stronie. Choć patrząc na nich, czasami się zastanawiała, czy w tych czasach ktoś w ogóle się przyznaje do wieku.

Nieustannie zaskakiwało ją to, że Viv i Angelo mają również ogródek działkowy. Kiedy pół godziny później Viv zadzwoniła do drzwi, okazało się, że to o niego chodzi.

– Przepraszam, że tak późno, ale Cory mówiła, że wrócisz. Chodzi o to, że wyjeżdżamy z samego rana. I tak się zastanawiałam, kochana, czy nie mogłabyś od czasu do czasu rzucić okiem na naszą działkę. Wystarczy raz w tygodniu, może dwa.

– Jak długo was nie będzie?

– Tylko trzy tygodnie. Jedziemy nurkować na Isla Mujeres.

– Gdzie to jest, na miłość boską?

– Chyba w Meksyku. Angelo rezerwował.

Viv i Angelo byli w tyłu miejscach, że już stracili rachubę. Ich rozrywki zawsze Ellę trochę męczyły. Paralotnie, wspinaczka, spływ rzeką, rowerowe przejażdżki po winnicach – niekończące się zajęcia dla wysportowanych, żądnych przygód i bogatych emerytów.

– Co miałabym robić?

– Pilnować, żeby porządnie wyglądała. Policja działkowa to koszmar. Straszą, że wygnają każdego, kto nie dopilnuje, żeby działka wyglądała jak Ogrody Kew.

– Naprawdę istnieje coś takiego jak policja działkowa? – zdziwiła się Cory.

– No... nie – przyznała Viv. – Tak nazywamy komitet. Kiedyś to byli oldboye w szelkach i słomkowych kapeluszach. A teraz... Angelo twierdzi, że wszyscy są LGBT.

– Co to jest LGBT? – spytała Ella.

– Mamooo! – krzyknęła Cory. Udawała obrażoną. – Lesbijki, geje, biseksualiści, transgender.

– Dobry Boże! – Ella rzadko czuła się staro, ale w tamtej chwili tak się poczuła. – Cóż, to całkiem jasne. – Pewnie mówi to więcej o Angelu niż o właścicielach działek.

– Musisz tylko trochę poudawać. Zamiatać liście, wyglądać na zapracowaną. Ciągle nam przypominają, że kolejka jest długa i że jest na niej wielu zasługujących na działkę bardziej niż my. Tu masz klucz.

Ucałowała Ellę trzy razy.

– Aha, zainstalowaliśmy w domu alarm przeciwwłamaniowy. Angelo się uparł. – Podała jej kartkę. – Jakby się włączył, tutaj masz kod. A nasze klucze już masz, prawda?

– Tak – przytaknęła Ella. Czuła się jak darmowy konsjerż. Viv już szła ścieżką przez ogród.

– Wyjeżdżamy o szóstej. Angelo nie znosi marnować całego dnia na podróż, więc lecimy pierwszym samolotem.

– Musisz przyznać – powiedziała po chwili Cory z zachwytem – że jak na emerytów mają dużo energii.

– Cholernie za dużo, jeśli chcesz znać moje zdanie. Próbuję udowodnić, że nie istnieje nic, na co byliby za starzy.

Zamknęła drzwi na dwa zamki i zasuwę, a potem odwiązała frędzle od połączonych pierścieni i zaciągnęła ciężkie jedwabne zasłony. To lubiła najbardziej. Stary dom z drewnianymi podłogami i dębową boazerią w nocy zdawał się odychać ze spokojem i zadowoleniem.

– Wiesz, mam... – w jej myśli wdarł się głos Cory. – Powinnaś zrobić to samo.

– Niby co? Zacząć nurkować z butlą czy latać na paralołtni?

Cory uśmiechnęła się smutno. Dobrze wiedziała, że jej matka nigdy się nie zdecyduje na żadne szaleństwo.

– Zainstalować alarm przeciwwłamaniowy.

– Nie znoszę alarmów – odparła. Chciała dodać: Nie przewidzisz wszystkiego, popatrz tylko, co się stało z tatą, ale uznała, że to by było okrutne. – Zaczynasz mówić jak twoja siostra. No dalej, pora spać. Chcesz herbaty?

Cory potrząsnęła głową.

– Jeszcze posiedzę. Pooglądam telewizję.

Ella zeszła do kuchni i zrobiła sobie herbatę. Myślała o mężu. Najbardziej brakowało jej drobnych rzeczy, uspokajających przyzwyczajęń, które tworzyły ich wspólny dom. Musiała to wszystko robić bez niego. Zostało jej tylko pilnowanie działki sąsiadów, którzy żyli życiem ludzi o trzydzieści lat młodszych. Tyle że ci o trzydzieści lat młodszy nie mogli sobie na takie pozwolić.

Wyłączyła światło. Przez chwilę wsłuchiwała się w ciszę starego domu. Kiedy go kupili, był ruiną. W wilgotnej piw-

nicy rosło nawet drzewo. Przywróciła go do życia miłością i oddaniem, ucząc się o czasach, kiedy powstał, i porównując z innymi domami na skwerze, żeby się stał równie uroczy.

– Dobranoc, domku – wyszeptala, żeby Cory nie uznała, że jej matka całkiem oszalała. – Teraz mamy tylko siebie. Nie będę już liczyć na to, że przydarzy mi się coś ekscytującego.

Idąc na górę, do sypialni, otrząsnęła się z depresyjnych myśli. W najsmutniejszych dniach po śmierci Laurence'a bardzo się starała nie użalać nad sobą i, do cholery, nie zamierzała się poddać teraz.

Sal stała na wyludnionej Eagleton Road. Miała nadzieję, że trafi się jakaś taryfa. Wiedziała, że nie powinna jechać taksówką. Nie było to konieczne. Nie mogła nawet wrzucić kursu w koszt, jak się robiło kiedyś, w najlepszych dla prasy czasach, kiedy pracownicy płacili, za co chcieli, a Wielki Dostawca alias „Euston Magazine” płacił za wszystko bez mrugnienia okiem. Teraz krajobraz wydawniczy stawał się pustkowiem przypominającym Syberię.

Niechętnie ruszyła w stronę stacji metra. Grała w jedną ze swoich ulubionych gier: jeśli zobaczysz taksówkę, zanim dotrzesz do metra, powinnaś ją wziąć. Bo kto by się kłócił z losem? Wiedziała, że idąc wyjątkowo powoli w niestosownie wysokich szpilkach, zwiększa szansę na wygraną. Te buty nadawały się wyłącznie do jeżdżenia taksówkami i nikt, a już na pewno nie ten, kto je zaprojektował, nie wyobrażał sobie, żeby ktoś szedł w takich po nierównym chodniku przy Eagleton Road.

Przeznaczenie jej sprzyjało. W oddali pokazała się wolna taksówka.

Zatrzymała ją z radością i ulgą uchodźcy łapiącego się na ostatnie miejsce na transportowcu wypływającym z rozdar- tego wojną kraju.

– Middlebridge Crescent – powiedziała. Ruszyli w stronę dość obskurnej enklawy w North Kensington, na obrzeżach ekskluzywnego Notting Hill Gate, gdzie trzydzieści lat wcześniej udało jej się znaleźć nieumeblowane mieszkanie, cztery dość nieprzytulne pokoje przy nieciekawej ulicy w zamian za bliskie sąsiedztwo eleganckiej starszej siostry.

Tak naprawdę, choć sprawiała wrażenie żyjącej dostatnio kobiety sukcesu, niektóre rzeczy zupełnie jej nie wychodziły: hipoteki, emerytura, plany oszczędnościowe. Nigdy nie interesowała się nimi tak, jak interesowała się wyprzedażami, darmowym wstępem do egzotycznego spa, londyńskim tygodniem mody – dopiero te rzeczy sprawiały, że jej serce biło szybciej.

Zapłaciła kierowcy i ze wzruszeniem stwierdziła, że czeka, aż bezpiecznie dotrze do frontowych drzwi, na wypadek gdyby w pobliżu czał się jakiś rabuś.

– Dobranoc, panienko! – zawołał, mimo iż wiedział, i ona też wiedziała, że choć teoretycznie to prawda, to określenie jest mocno na wyrast.

– Dobranoc – odpowiedziała, otwierając szare drzwi. To zabawne, że szare wejścia stały się nagle *de rigueur* w domach z ceglany frontem, jakby każdy inny kolor zrobił się dziwny i z jakiegoś powodu niewłaściwy. Takie są prawa mody, jasne. Szarość nie jest po prostu nową czernią, jeśli chodzi o drzwi – zastąpiła też czerwień, zielen i błękit.

Kiedy przekręcała klucz w zamku, przeszył ją dreszcz. Ucieszyła się, kiedy poczuła ciepło kaloryferów, może nie tak nęcących jak kochanek, ale dużo tańszych w obsłudze i zdecydowanie mniej marudnych.

Już październik. Niesamowite. Uśmiechnęła się na wspomnienie fotografii ich czwórki, a potem wzdrygnęła na myśl o tym, ile czasu upłynęło. Nigdy nie przypuszczała, że ponad czterdzieści lat później będzie mieszkać sama, sama na siebie zarabiać, a standard jej życia będzie zależeć od kaprysów Maurice'a Eustona i jego córki Marian, która właśnie awansowała na dyrektora zarządzającego.

Kiedy siadała na welurowej kanapie koloru bakłażana i zrzucała ciasne szpilki, pomyślała z ulgą, że najważniejszy numer – bożonarodzeniowy – wyjdzie jeszcze przed końcem miesiąca. Złożono go oczywiście wiele tygodni wcześniej. Dzieci bawiące się radośnie w uroczych piżamkach pod choinką pocily się w upale. Ale ona wciąż wierzyła w magię świąt. Uważała, że to nie ma znaczenia, że trochę oszukują, żeby zadziałała. Nigdy nie czuła się cyniczna i znudzona, nigdy nie miała ochoty krzyknąć do jakiegoś młodego pechowego dziennikarza: „Na miłość boską, słyszałam coś takiego już pięćset razy!”.

Uwielbiała czasopisma. Kiedy dorastała na przedmieściach Carlisle, nie mogła sobie pozwolić na kupowanie prasy, więc pożerała tyle, ile się dało, podczas wizyt w salonie fryzjerskim, gdzie jej mama chodziła we wtorki na promocyjne mycie i czesanie. Czasopisma były i pozostały symbolem cudownego czasu tylko dla siebie. Błyszczące jak lukier i obsypane pyłem gwiazd niosły przyjemność milionom. Cóż, może nie milionom – to była część problemu – ale tysiącom. Według niej kobiece magazyn należało brać do ręki, napawać się ekscytacją płynącą z przeglądania pierwszych stron, a nie ładować na iPada albo przeglądać pośpiesznie online podczas przerwy obiadowej. Wiedziała jednak, że muszą nadążać za postępem, i ciężko pracowała, żeby nowe możliwości były nie tylko dostępne, ale też rów-

nie interesujące jak te proponowane przez rywali „Modern Style”.

Zrobiła sobie filiżankę zielonej herbaty. Nie może pozwolić, żeby gazeta zajęła jej całe życie, to, które jeszcze jej zostało. Nie jest pracoholiczką. Ma inne zainteresowania i pasje.

Prawda?

Laura zaparkowała na podjeździe swego dużego podmiejskiego domu. Pilnowała się, żeby nie wypić więcej niż dwa małe kieliszki i nie przekroczyć dozwolonej liczby promili. Wolała jeździć autem niż autobusem czy metrem. Dawało jej to poczucie, że nie opuszcza ochronnego domowego kokonu. Lubiła to. Ktoś mógłby powiedzieć, że jeżdżenie metrem jest interesujące. Te wszystkie narodowości, ludzie czytający książki, e-booki, darmowe gazety, grający w gry na komórkach. No i moda. Lubiła się przyglądać, jak się ubierają młode kobiety. Ale byli tam też żebracy wciskający najróżniejsze historie, pijani żule głośno gadający do siebie i wyczerpani, zmęczeni robotnicy, przez których miała cień wyrzutów sumienia, że ma tak łatwe życie.

Również tego wieczoru, choć wiedziała, że to okropne, była z siebie zadowolona. To niezwykle, że z całej czwórki tylko ona była naprawdę szczęśliwa. Ellę spotkała tragedia, niesprawiedliwa i niespodziewana. Sal zawsze myślała tylko o sobie i dlatego skończyła samotnie. Claudia od dawna była mężatką, ale nieustannie narzekała, że Don jest marzycielem i że nigdy nie byli bratnimi duszami. Nie takimi jak ona i Simon.

Powodem do dumy było dla niej to, że Simon tak bardzo kochał swoją żonę i rodzinę i że tak dobrze się czują w swoim towarzystwie. Oczywiście uwielbiała swoje przyjaciółki, ale on był najważniejszy.

Wiedziała, że jej mąż czuje to samo. Jedynym źródłem napięcia okazały się dzieci. Kiedy Bella została gotką, Simon był przerażony. Za to ona ją podziwiała. Sama ubierała się nudno i konserwatywnie. Uważała, że to do pewnego stopnia wyjaśnia, skąd się wzięła jej potrzeba, żeby wyrażać swoją indywidualność przez ubieranie się jak bohaterka horrorów: nosiła jedwabny cylinder, woalkę i wiktoriański strój do jazdy konnej. A kiedy ufarbowała jedwabiste blond włosy na atramentową czern, Simon niemal się rozpłakał.

Wiedziała również, że ich syn Sam – milczący, uwielbiający heavy metal Sam, nienawidzący wszelkich sportów – także rozczarował ojca. Simon tak bardzo się cieszył, że ma syna, że od dnia jego narodzin sadzał go przed telewizorem, żeby z nim oglądał mecze. A wynikło z tego tyle, że Sam nienawidził piłki nożnej. Przynajmniej do dwunastego roku życia.

Choć czasami okazywało się to stresujące, cieszyła się, że dzieci wciąż mieszkają z nimi. Dom i rodzina były w jej słowniku synonimami. No i doceniała, że w ogóle ma dzieci, zważywszy na jej ogromne problemy z płodnością. Nieraz chciała się poddać. Simon twierdził, że kolejne próby kosztują ją za dużo, ale ona czuła, że mówi raczej o sobie. Nienawidził tych górskich nadziei i dołków rozczarowania towarzyszących in vitro bardziej od niej. I w końcu, kiedy miała czterdzieści lat, okazało się, że jest w ciąży! Nigdy nie zapomni wyniku testu ciążowego. Do pełni szczęścia brakowało już tylko jednego: dwa lata później na świat przyszedł Sam.

Od kiedy urodziły się dzieci, chciała z nimi być – nie pracować, chciała zapewnić córce i synowi bezpieczne, szczęśliwe dorastanie. Cieszyła się, że może czekać w domu, kiedy wracają ze szkoły, wołając: „Hej, mammo, jestem!”

Wciąż rozmyślając o tym, jak bardzo kocha swoje dzieci, poszła na górę, do sypialni. Ten pokój zawsze ją uszczęśli-

wiał. Był dokładnie taki, jakiego zawsze pragnęła. Miękkie dywany, wykrochmalona biała pościel, róże w wazonie. Był też zimny, bo Simon – wychowanek szkoły z internatem – lubił szeroko otwarte okna. To jedna z niewielu rzeczy, oprócz kwestii wychowania dzieci, o które się spierali. Na szczęście spał twardo, więc gdy tylko odpływał, zamykała okno. Jeśli pamiętała, z poczuciem winy uchylała je odrobinę rano, zanim się obudził.

Kiedy się kładła, Simon coś wymruczał i odwrócił się. Pomyślała, że może ma ochotę na seks, i poczuła się rozczarowana, kiedy z zamkniętymi oczami znów przytulił się do ściany.

Rano zmieniała pościel, co zawsze oznaczało pewnego rodzaju dylemat. Było coś pociągającego w czystej pościeli, ale czy naprawdę chciała ją gnieść podczas uprawiania seksu? Ostatnio szczególnie. Simon był bardzo czuły, ale rzadko naciskał, żeby się kochali. Zastanawiała się nawet nad viagrą.

– My musimy najpierw wieki czekać, aż zadziała – ostrzegła ją Susie, koleżanka z tenisa. – Nie wspominając o tym, że muszę go cały czas pobudzać, jak jakaś tajska dziwka, chyba że sam to zrobi. A potem, kiedy ty już zasypiasz, on zaczyna ci się wciskać między pośladki. A jak już stanie, to stoi go-dzinami.

Zachichotała. Wyobraziła sobie erotyczny teatrzyk lalkowy, w którym Pan Punch używa zamiast kija siusiaka i woła: „Tak to się robi!”

Właściwie cieszyła się, że Simon śpi tak mocno.



***Prowokacyjna, szczera,  
zabawna i inspirująca powieść,  
która zadaje pytania o to, co świat  
proponuje kobietom, kiedy się starzeją.  
Odpowiedzi potrafią zadziwić.***

Claudia kocha swoje miejskie życie – każda myśl o wsi przyprawia ją o dreszcze. Ella wciąż czeka na radykalną zmianę. Laura ulega najstarszemu banałowi z ksiązek (co nie znaczy, że łatwiej jej to znieść). Sal spędziła życie na budowaniu kariery, ale nigdy nie zrobiła niczego, na co nie miała wpływu.

Co miesiąc od ponad czterdziestu lat cztery przyjaciółki spotykają się na drinka. Znają się od podszewki: swoje ambicje, kariery, mężów, kochanków, dzieci, nadzieje, lęki, podjęte decyzje i te niepodjęte... Choć czerpią siłę ze swojej przyjaźni, zdają sobie sprawę, że ich życie dalekie jest od oczekiwania. Pokoleniu, które chciało zmienić świat, trudno zaakceptować fakt, że się starzeje. Co więc zostaje?

O tym jest ta książka.

[www.marginesy.com.pl](http://www.marginesy.com.pl)



9 788365 282514

cena 39,90 zł

PATRONAT MEDIALNY

WROŹKA

STYLOWI.PL

EVELINE  
COSMETICS